

**GERARD GÓRNICKI****Spotkanie przed bramą do nieba**

opowiadanie

Deszcz przestał padać, ucichł sztorm. Ciemność nadciągała nad miasto, na końcu morza gasło światło sierpniowego dnia. Wiatr spychał kałuże wilgoci na ląd.

Grzegorz stanął nad otwartą przestrzenią nadbrzeża. Piasek, zlany strumieniami ulewy, stwardniał; usiany był białymi muszlami i miał czekoladowy połysk.

Wyżłobiona nitka ścieżki zaprowadziła Grzegorza przez wał żwiru na betonową płytę o wystających żelaznych prętach. Potrącał nogami blaszane puszki, drewniane skrzynie i butelki, wyrzucone przez morze na obnażony brzeg.

Później poszedł na molo, przechylił się przez poręcz i patrzył nieruchomo na kotłujące się w dole morskie fale. Nad głową przeleciała mewa i zaraz rozpełzła się w ciemności z krzykiem. Znowu zapadł się w nagłą próżnię, spokojną, krzepiącą. Czuł, że przekształca się gwałtownie w jakąś gipsową rzeźbę, jakby na brzegu urwał się ślad po nim. Słuchał odgłosów morza, podobnych do rytmu symfonicznej muzyki. W otchłani wody tonął wzrok. Dobrze było stać tutaj, nie mógł nawet wspominać spraw, które sprawiały mu zawsze przykry ból.

„To dziwne - myślał - bardzo dziwne”.

Nad morzem byk pierwszy raz w swoim życiu.

„Nie pójdę dzisiaj do domu - postanowił. - Tutaj lepiej jest niż w łóżku”. Wydawało mu się, że już nigdy nie powrócą wspomnienia. Żadne. Wyciągnął papierosa, zapalił go, osłaniając dłońmi przed wiatrem. Jarzący się ogieniek ogrzewał lekko twarz.

Grzegorz jednak uparł się, chciał przypomnieć sobie jakąś miłą historię z własnego życia, jakiś wierszyk ze szkoły, przygodę miłosną lub którąś ze świetnych scen oglądanych w teatrze - ale i to mu nie wychodziło.

Morze stało się ciemne, stopiło się z niebem w jedną kulę; było bezgraniczne, ziejące przejmującym chłodem.

Grzegorz zapiął pod szyją płaszcz, postawił kołnierz i usiadł na pomoście. Zwiesił nogi. Chmury wędrowały po niebie. Wśród drzew płonęły na brzegu światła domów. Był szczęśliwy.

Gdzieś około godziny jedenastej ocknął się, wydawało mu się, że zatrzeszczały deski i ktoś wszedł na pomost. Bał się popatrzeć w stronę miasta. Wreszcie spojrzął, Wysoki mężczyzna stał tyłem do niego; Grzegorz utkwiał wzrok w jego plecach. W ręce trzymał zwilgotniałe pudełko zapalek. Włożył je do kieszeni impregnowanego płaszcza. Spojrzął znowu na stojącego człowieka, którego sylwetka zaczęła się rysować ostro na tle nieba. Wschodził księżyc.

„Nie stać mnie na to, aby rozmawiać z kimkolwiek - myślał. - Czuję się tak, jakby morze wszystko ze mnie wypłukało". Wciąż patrzył na plecy mężczyzny. Deski pomostu były twarde i zimne. Teraz dopiero odczuł, jak bardzo jest mu niewygodnie, zdrętwiał. Usłyszał daleko za sobą warkot motorówki. Nieznajomy pali papierosa, świateł nad skarpą było coraz więcej. Grzegorza ogarniało zmęczenie i złość, że tak prędko skończyła się ta dziwna samotność.

Wstał. Był przemoknięty od morskiej rosy. Nad uchem zabrzęczał mu komar, inny laził po twarzy. Uniósł rękę, aby zabić komara kłującego prawy policzek, wtedy poczuł, że drży mu dłoń.

Księżyc pojaśniał i stał pionowo nad miastem. Mężczyzna podszedł doń blisko i przyjrzał mu się dokładnie. Miał małą twarz o białej cerze i wąskich, zaciśniętych ustach.

- Grzegorzu, poznajesz mnie?
- Grzegorz odwrócił głowę.
- Ciemno. Nie poznaje.
- Obcy uniósł twarz w stronę księżycy. Rzekł:
- Jesteś tutaj na wczasach?
- Tak.
- Uciekłeś z domu i w świecie szukasz spokojnego jutrzejszego dnia.
- Niczego nie szukam. Pragnę być sam.
- Naprawdę, nie poznajesz mnie?
- Domyślam się...Zapomniałem, jak się nazywasz, ale poznaję.
- O ile się nie mylę, to...
- To co?
- Ten jutrzejszy dzień, który rozpocznie się za pół godziny, ma w tym największą zasługę, że się domyślasz, kto ja jestem.

- Tak - Grzegorz rzucił krótkie spojrzenie w oczy tamtego. - Czego chcesz, Ferdynand? - Na twarzy czuł przyływ gorącej krwi.

- Jesteś głupi, Grzegorz - Ferdynand pocierał ręką czoło.

- Proszę cię, bez tej przykrej poufałości. Porozmawiajmy lepiej o sprawach obojętnych.

Obaj zapatrzyli się w księżyc.

- Takie zimno w samym środku lata, jak na biegunie północnym - Ferdynand wypluł papierosa do wody, patrzył z ironią na Grzegorza, który od kilku sekund stał z zacisniętymi powiekami. Ferdynand zadarł głowę i zaśmiał się głucho. - Głupsi, stary - wzruszył ramionami.

Grzegorz pokiwał głową.

- Rozumiem. To nie był twój pierwszy trup.

- Właśnie, że pierwszy.

- Gratuluję ci więc opanowania, z jakim to robiłeś.

- Dziękuję. Co z Magdaleną? To była słodka jawnoгрzesznica.

- No dobra. Muszę iść.

- Zostań. Wspaniałą masz dziewczynę, Grzegorz.

- Kogo?

- Magdalenę.

Grzegorz mocniej tylko zacisnął płaszcz. Ferdynand zaczął mówić gorączkowo, dobitnie, jakby chciał sobie powetować za wszystkie godziny wyczekiwania na to spotkanie.

- Słuchaj, Grzegorz, ja sam myślałem, że się skończę jak inni, utonę w tym bagnie. Pomyśl, wszystkie dziwki z całego Krakowa schodziły się do mnie i błagały: Ferdek, Ferdulek, zaszlachtuj. W chałupie miałem rzeźnię.

Rozumiesz? To było jeszcze przed dyplomem...

- Ale wówczas, szóstego sierpnia, robiłeś to pierwszy raz. Sam to przed chwilą powiedziałeś.

- Nie przerywaj! Niech cię szlag trafi za ten mój pierwszy raz.

- Więc...

- Nie przerywaj tylko, bo ci dam w pysk!

- Więc mów, krótko!

- Teraz wysłuchasz mnie łaskawie, znalazłeś bratnią duszę pokutującą. Muszę cię, Grzegorz, rozczarować. Doszedłem do tak zwanej równowagi psychicznej, i to w bardzo krótkim czasie. Po prostu obliczyłem. Nie patrz tak idiotycznie na mnie. Obliczyłem na podstawie historycznych danych, ile ludzi

zamordowali inni podczas wszystkich wojen na świecie... Powiem ci prawdę, Grzegorz. Nie ja pierwszy straciłem szacunek dla śmierci, nie ja...

- Jesteś śmiesznie dziecinny, Ferdynand. To jest zwykłe oszustwo, którym się nakarmiłeś. Miałem cię zawsze za rozsądnego człowieka, potrafiłeś panować nad sobą, kiedy inni robili w portki ze strachu.

- A ty?

- A bo co?

- Teraz mam coś dla ciebie, Grzegorz. Nie przerywaj tylko. Balsam kojący sumienie. Słuchaj dobrze, Grzegorz. Nie dałem urodzić się dziecku, bo mówiłeś, że spłodził je hitlerowski oficer.

- Tak było, nie kłamałem.

- Dobrze już, dobrze. Nie przerywaj. Ułożyło się pomyślnie. Ale chodzi mi o coś innego jeszcze. Otóż w tym czasie, kiedy ćwiartowałem pięćmiesięcznego bękarta, inni zrzucali z superfortecy bombę atomową na Hiroszimę. Wykwintne, co? Pamiętasz, wyszliśmy na ulicę. Światło raziło w oczy, nie mogliśmy patrzeć prosto w niebo. Słońce miało bladoczerwony blask. Ty szedłeś tanecznym krokiem jak po egzaminie zdanym na celująco, ale twarze mieliśmy szare i zmięte. Byliśmy podobni do starców...

Pamiętasz?!

- Nie pamiętam...

- Więc ci przypomniałem wszystko dokładnie. I jeszcze jedno, Grzegorz. To ty pokazałeś mi drogę do domu Magdaleny, pamiętasz?

- Tak.

- Pędziłeś, że nadążyć za tobą nie mogłem.

Leciałeś podobny do ptaka, jak pilot, major Eatherly na swojej superfortecy wywiadowczej „Artystka Greta” nad Japonią... Co z twoją Magdaleną? Powiedz, stary - Ferdynand wziął głęboki oddech i splunął do wody.

- Magdaleną?

- Co słyhać u niej? Jak się czuje ta twoja...?

- Magdalena?

- Nie zgrywaj wariata.

- Magdalena umarła.

- Kiedy?

- Trzy dni po tym.

- Nieprawda.

- Tak.

- Dziewiątego sierpnia?

- Tak. W nocy. W klinice przy Kopernika.
- Dziwne.
- Co masz na myśli?
- Nic. Dziewiątego sierpnia zrzucili drugą bombę atomową na Nagasaki.
- No więc co?
- Nic.
- I ten major?
- Tak. Oczywiście. Major Eatherly torował drogę, określał miejsce zrzutu. Prowadził za rękę śmierć. Za rączkę jak damę do poloneza. Na wysokości 30 tysięcy stóp, przed samą bramą do nieba...

Grzegorz milczał. Rozglądał się na wszystkie strony, marszcząc czoło poruszył wargami, jakby też coś obliczał.

- Dlaczego mi to powiedziałaś? Po co?
  - A, tak sobie.
  - No i co?
  - Nic.
  - No właśnie - Grzegorz zmarszczył znowu czoło.
  - Przecież nie kłamię - rzekł Ferdynand.
  - Nie.
  - O co chodzi?
  - O nic.
  - A więc powiadasz, że to prawda, Grzegorz?
  - No...
  - To dobrze. Cieszę się, że cię wreszcie spotkałem. Ulżyło mi, cholernie mi ulżyło, nie masz pojęcia, Grzegorz. Ulżyło mi zupełnie, jakbym się solidnie wyrzygał. Czuję się teraz jak ryba w wodzie - Ferdynand roześmiał się.
  - W porządku. Ale nie masz się czego śmiać.
  - A ty?... Masz, Grzegorz, zapalki?
  - Mam. - Grzegorz wyciągnął z kieszeni pudełko. Grzebał w nim powoli palcami. Próbował zapalić, ale zapalki były przemoknięte.
- Ferdynand trzymał w zębach papierosa, poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek. Nie znalazł.
- Przyjeżdż, Grzegorz, kiedy do Krakowa - powiedział Ferdynand - zapalimy u mnie dobrego papierosa - i poszedł.

Grzegorz podniósł głowę i spojrzał w niebo. Oczy miał podobne do metalowych gałek, twarz zziębniętą. Poszedł wolno w kierunku latarni

morskiej. Jego głowa i lekko przygarbione plecy odbijały się czarną plamą na tle srebrzystego księżyca.

- On nie ma się wcale z czego śmiać - Grzegorz odwrócił głowę w stronę miasta. Po chwili spytał sam siebie: - Jak się nazywa ten cwaniak?

Nad głową usłyszał pisk mewy, która zaplatała się w błysku latarni morskiej. Pod nogami skończył się piasek, czuł twarde kamienie falochronu. Popatrzył na morze, jakby zalane atramentem, z żółtą plamą księżyca przy samym brzegu. Z północnego-zachodu znowu nadciągnęły chmury, zakryły połowę nieba. Począł padać ukosem drobny deszcz.

Grzegorz zbiegł ze śliskich kamieni i poszedł przez wydmy w stronę lasu. Bez trudu znalazł wśród drzew wąską, asfaltową drogę. Nad lasem przeszła również wojna. Przetracone, wysokie kiedyś drzewa były już do niczego. Bunkry stały całe. Szedł równym, miarowym krokiem, ale za drugim zakrętem drogi poczuł ukłucia serca. Począł szybko przełykać ślinę.

Chował się przed deszczem pod gałęziami drzew, wiszącymi nad drogą. Nie mógł dojrzeć księżyca. Wyjął z kieszeni bluzy okulary i założył na nos, ale były to czarne okulary przeciwsłoneczne. Prawą nogą wlaź w przydrożny rów. Błoto zasyczało jak żmija. Potem woda chlupała mu w bucie, prawa noga bolała. Szedł podobny do kulasa,

Przy grubym dębie było skrzyżowanie dróg. Czuł dreszcze. Przechodzącego marynarza poprosił o zapalniczkę. Zapalił i przyjrzał się w świetle ognia młodemu żołnierzowi; była to piegowata, spokojna twarz człowieka, który nie miał nic jeszcze na sumieniu. Grzegorz chciał go zapytać o drogę do miasta, ale tamten zsalutował i zaraz odszedł.

Grzegorz poszedł w prawo, ale po przejściu kilkunastu kroków wrócił i stał znowu na skrzyżowaniu dróg. Było daleko po północy, najlepsza pora do snu skończyła się, zrobił już milowy krok w głąb tego dnia, którego tak bardzo zawsze się bał, gdziekolwiek znajdował się pod słońcem.

Nie widział nieba ani drogi. Był jak ślepy. W górze nad nim szumiały mokrym igliwem sosny. Na twarz spadały mu krople deszczu. Włosy miał przemoknięte, wargi suche. Znowu zaskrzypiał żwir, ktoś przebiegł obok niego; raz, drugi, trzeci... Odczuł, że wszyscy okazują zdumiewającą obojętność wobec niego. Prawda. Nie był przecież pijany, trzeźwego człowieka traktuje się zawsze tak, jakby nie potrzebował pomocy ani słów perswazji.

„Ale mnie Ferdynand i Magdalena urządzili - pomyślał. - Nawet nie mogę czuć się jak rozbitek”

Stał w miejscu, prawa noga, oblepiona błotem, zdętwiała mu.

Zebrał resztę sił, jakie mu pozostały, aby pójść jedną z tych czterech dróg. Wysunął do przodu obolałą nogę. Wyciągnął ręce, by nie stracić równowagi. Przyklęknął. Spod płaszcza wydobywał się kwaśny zapach potu. Usiłował się podnieść z ziemi, było to jednak zbyt trudne. Wzmagał się wiatr, w pobliżu nie było żywego ducha. Leżał oparty o chodnik. Prawa noga piekła w stopie. Mokre ręce potarł o płaszczy. Rozwarł dłonie, były tętniące i gorące. Położył je na asfalcie. Przekonał się, że z niemowlęcych lat pozostała mu zbawcza sztuka raczkowania. Chmury stały w miejscu nisko nad jego głową. Powietrze idące od morza było soczyste i słone. Ziemia twarda.

Potem ręce i kolana jakby nie należały już do niego, nie władał nimi. Uniósł głowę, była ciężka, twarzą dotknął asfaltu. Ziemia cuchnęła, rozpoznał w tej woni dziwny ludzki zaduch. Był pod żelaznym płotem cmentarza. Nie mógł zaczerpnąć gęstego powietrza, które wiatr zgarniał mu na twarz razem z włosami. Przestał myśleć.

Deszcz zaczął padać silniej.

Wsunęli mu ręce pod pachy i dźwignęli bez wysiłku. Wprowadzili do knajpy i postawili przy kantorze.

- Nalać? - zapytali.

Grzegorz mrużył oczy, raziło go światło jarzeniówek. Przed nim sterczała butelka wód-ki. Jednym haustem wychylił szklanekę i odsunął ją od siebie.

Wykrzywił twarz.

- Nalać jeszcze?

- Nie. - Grzegorz otworzył oczy. - Powiedziałem, że nie. Dziękuję.

- W porządku.

Grzegorz popatrzył na tłustą bufetową o białej, spoconej twarzy. Uśmiechała się do niego wyrozumiale. Kupił papierosy i zapalki. Potem oparł się plecami o bufet i popatrzył na salę. W okno bębnił deszcz. Grzegorz splunął na podłogę, roztarł ślinę butem. Czekał, nie wiedząc początkowo na co i na kogo. Nie znał miasta i bał się nocy.

Zlustrował wzrokiem swój płaszczy, począł rozcierać dłońmi grudki błota: na brzuchu, na łokciach, na kolanach. Popatrzył na zegar, potem na kelnera białego jak anioła.

- To Ferdynand mnie tak urządził. Razem z tym majorem z superfortecy - powiedział.

Kelner na chwilę spoważniał:

- Proszę nie paskudzić albo opuścić lokal.

- Już się zaczyna - szepnął Grzegorz. I zaraz pomyślał: „To się szybko nie skończy. W ogóle nie mam pojęcia, jak to się ma skończyć”.

Ktoś kuląc się z zimna wbiegł do lokalu i poszedł prosto do ustępu. Chwilę trwała cisza, potem znowu uniósł się lekki gwar. Grzegorz patrzył na blat pustego stolika, sprawiało mu to ulgę, a nawet przyjemność, jak patrzenie na spokojną nagą kobietę, która jest już po wszystkim. Kątem lewego oka widział lustro wiszące na ścianie, ale bał się podejść, aby nie patrzeć na siebie. Najchętniej przeobklełby się w inną skórę, obojętnie jaką, aby Ferdynand i nikt inny więcej go nie poznał. Aby nie był podobny do któregośkolwiek człowieka. Zapalił papierosa i zaciągnął się chciwie dymem, czuł lekki zawrót w głowie.

Stuknęły drzwi. W progu stanął milicjant, zasalutował. Grzegorz odwrócił głowę w stronę wejścia.

- Cześć, obywatelu majorze! - milicjant odsłoniwszy w uśmiechu zęby, zmrużył jednocześnie oczy i patrzył na Grzegorza.

- Pomyłka, panie poruczniku.

- Chyba nie... Przepraszam. Wydawało mi się, że pan major... pardon! - milicjant zasalutował i znowu pokazał biel zębów. Miał opaloną twarz. Chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Zaczęło świtać. Grzegorz przestąpił z nogi na nogę. Czuł ból pod czaszką. Przymknął oczy. Przesunął ręką po czole.

„To musi się skończyć... Ale to nie skończy się samo. Jestem szczelnie zamknięty w sobie i jak w gondoli zanurzony w głębinach świata, nocy i życia. Wówczas patrzyłem na świat szeroko otwartymi oczyma; na wojnę, na Magdalenę, na Ferdynanda. Nie bałem się niczego, nie przewidywałem... Nie miałem wówczas ochronnych okularów, aby nic przez nie nie widzieć, jak ten pilot, major... Staję się neurastenikiem. Majaczą mi nieznani ludzie, i to tacy, którzy byli już przed samą bramą do nieba...” Zapiął płaszcz pod szyją, postawił kołnierz. Bał się, że może być rozpoznany - on, Grzegorz Zych, przestępca. Wytrzymał spojrzenie milicjanta, patrzącego mu prosto w twarz. Z oddali usłyszał przeciągły ryk syreny okrętowej.

„Uciec stąd - pomyślał. - Ale dokąd?”

- Proszę o tę herbatę - powiedział milicjant.

- Z cytryną?

- Tak.

W sąsiednim pokoju umilkł śpiew.

- Herbata z cytryną dobrze zrobi o tej porze, panie poruczniku - powiedziała bufetowa.

- Tak jest, obywatelko bufetowa.

Drzwi wejściowe otworzyły się na oścież i weszła gromada marynarzy. Stukali obcasami, odzież pachniała im morskim wiatrem. Usiedli przy stole. Milczeli.

„Napiję się herbaty z cytryną - pomyślał Grzegorz. - To mi dobrze zrobi o tej porze”

Milicjant uniósł głowę, odłożył gazetę na bok.

- Kiedy będzie ta herbata z cytryną, panie starszy?

- Już niosę. Kuchnia, jedna herbata z cytryną dla pana porucznika! Już idzie... Żeby przestępcy chcieli tak się zjawiać jak ta herbata z cytryną, panie poruczniku. Niejedna noc by się zaoszczędziło dla zony.

- Czasem przychodzą. Nawet prędzej niż ta herbata z cytryną.

- Już jest, panie poruczniku!

Milicjant ujął w dłonie gorącą szklankę.

Grzegorz zrobił parę kroków i stanął obok milicjanta.

- Zamówić jeszcze jedną? - zapytał porucznik.

- Dla mnie nie - odparł Grzegorz.

Rybacy zapłacili, wstali i wyszli.

- Jestem przestępcą, panie poruczniku.

Milicjant chlpał łyżeczką gorącą herbatę.

- Zalani jesteście, obywatelu.

- Nie!

- Zwariowałeś?

- Zwariowałem.

- To co innego - milicjant ściągnął brwi.

Grzegorz usiadł na krześle, teraz dopiero odczuł, jak bardzo miał napięte wszystkie mięśnie. Nogi mu pulsowały, dygotało lewe ramię. Szepnął:

- Coś się we mnie tej nocy zburzyło.

- Trzeba się leczyć. To lewe ramię chodzi wam jak oberwana gałąź na jabłoni.

- Tak. Mam taki nerwowy tik.

- Trzeba się leczyć.

- Trzeba. Muszę coś zrobić sam ze sobą. Mam wyrzuty sumienia... Chcę znaleźć się w więzieniu... Musi mnie pan aresztować.

- Teraz?

- Tak.
  - Nie.
  - Dlaczego?
  - Dowody! Zresztą używa pan prymitywnych, wyświechtanych sformułowań
  - milicjant ujął Grzegorza za rękę i poczuł, że drży.
  - Jesteś gówniarz.
  - To znaczy, że jestem stracony.
  - Nie wiem. Zamówić herbatę?
  - Dla mnie nie.
  - Co to za historia?
  - To wielkie i przerażające słowo, panie poruczniku.
  - Historyjka ?
  - Pan myśli, że ja chcę fałszywie sam siebie oskarżyć?
  - Pan jest przecież powołany do ścigania przestępców.
  - Tak - milicjant zapalił papierosa.
- Twarz Grzegorza skurczyła się w sobie, zmaląła.
- Wiedziałem, że Magdalena była zdirą. Tak, ostatnią zdirą... Kochałem ją, to była moja pierwsza miłość, panie poruczniku.
  - Byliście zaręczeni?
  - Tak.
  - Mieliście się pobrać?
  - Owszem.
  - No, dobra - powiedział milicjant. Wypił resztę herbaty.
  - Raptem wszystko się skończyło. Była w ciąży.
  - Okropne - milicjant uśmiechnął się.
  - Przyznała się sama, że to było z niemieckim oficerem. Zgwałcił ją, tylko nie powiedziała mi, kiedy i w jakich okolicznościach...Straciłem ojca i brata. W Oświęcimiu... Gdy wróciłem ze szpitala po dyfterycie, przysięgłem sobie, że zabiję tego bękarta. Powiedziałem to Magdalenie. Żal mi jej było, ale co miałem zrobić? Ferdynand zrobił swoje...Magdalena umarła trzy dni po tym.
  - Dawno ?
  - Tak. W czterdziestym piątym.
  - Nie warto myśleć.
  - Muszę przestać o tym myśleć. Powiedziałem to sobie już dawno. Nie pomaga.

- To jedyne wyjście z tego wszystkiego. Napijemy się jeszcze herbaty i wyjdziemy na świeże powietrze. Może po jednym?

- Nie. Mnie to nie pomaga.

- Prawda. Nie warto się upijać.

- A co z tym?

- Z czym?

- Z więzieniem.

- Nic z tego. Sprawa przedawniona.

- No to co?

- No, powiedziałem, że...

- Więc chce mnie pan tak tutaj zostawić?

- Nie. Pójdziemy do domu.

Grzegorz siedział w milczeniu.

- Upiekło ci się jak cholera - mówił porucznik. - Posiedziałbyś z tym Ferdynandem parę latek. Nie byłoby rady.

- A teraz jaka jest rada na to wszystko?

- Na co?

- Na tę moją zadrę, którą mi wbił Ferdynand między trzecie a czwarte żebro.

- Nie myśleć już o tym.

- Nie myśleć. Bzdura! Żeby tak można było wypompować z siebie te zatrute myśli. Bulgocą w człowieku, że... Przepraszam pana. Trudno, nie będę nalegał. A może ma pan ochotę na dobre śniadanie? Wiem, że pan teraz mojej prośbie nie odmówi. Okłamujmy się do końca...

- Wszystko w porządku. - Nie rozumiem pana.

- Nie ma pan już nic więcej do powiedzenia. Właśnie, że nie w porządku! -

Grzegorz patrzył w twarz milicjanta. - To pan sądzi, że życie jest takie proste?

- Prawo jest....

- Prawo jest też proste, przejrzyste. Istotnie...

- Rygorystyczne.

- Świetnym pan jest adwokatem. Ale nie przekonał mnie pan jeszcze, że życie moje pozwala mi tak dalej egzystować. Jestem teraz jeszcze bardziej bezsilny, ale muszę coś zrobić. Nie mogę się rozdwoić i żyć spokojnie choćby w jednej mojej połowie. Nie mogę...

Grzegorz zerwał się z krzesła. Nagrzane zaduchem kuchni i piwa powietrze męczyło. Okna raziły czerwonym blaskiem słońca. Milicjant rysował coś palcem po stole. Grzegorz wydał z siebie jakiś dźwięk, zachichotał i zaczął mówić szeptem, skulony nad stołem.

- Ty sukinsynu! Wynoś się, bo zawołam innego milicjanta! Innemu powiem o wszystkim! Słyszysz?

Porucznik wstał. Grzegorz pchnął go silnie w stronę drzwi.

- Chcesz zrobić ze mnie świnie, chcesz...chwycił go raptownie za włosy. - Teraz już jest w porządku. Możesz mnie odprowadzić - popatrzył po sali. - Będziecie świadkami, wszyscy! Teraz pan porucznik zechce łaskawie pogrzebać w kodeksie karnym, a nie zajmować się pić herbaty z cytryną o tej porze.

Milicjant wygiął się w bok. Oparł się o drzwi. Poprawił mundur.

- To się pan grubo pomylił, panie przestępco. Niech pan dobrze trzyma się na nogach. O, tak! - patrzyli sobie w oczy. - Ja nie jestem milicjantem. Jestem statystą do filmu, nagrywanego w tym porcie, o zatopieniu największego na świecie statku. Robię to dla uciechy widzów... A pańska sprawa nie pójdzie do sądu, jak pan tego sobie życzy. Sądy nie zajmują się komediami.

Szczeniaku!

- Łżesz, bydlaku! Chcesz się wyłgać z tego wszystkiego!

- A ty to nie?

Grzegorz stał na środku pokoju nieruchomo. Porucznik zdjął bluzę, rzucił ją na stół. Miał na sobie kraciastą, kolorową koszulę. Odsłoniwszy w uśmiechu zęby, zmrużył jednocześnie oczy. Za tym uśmiechem przepadały wszystkie kobiety.

Grzegorz miał przygarbione plecy i twarz kanciastą, z wystającymi kośćmi policzkowymi i grubym nosem.

„Nie rzuci się już na mnie - pomyślał aktor. - Wilk atakuje człowieka tylko pod wpływem szału wścieklizny". Powiedział:

- Z tą całą historią masz chyba rację. No co? Nie przeszło ci jeszcze? Nie denerwuj się. Bardzo mi przykro, ale pierwszy zacząłeś. Idziemy. Poleżysz sobie w łóżeczku do południa i będzie dobrze...

Grzegorz wyszedł w milczeniu. Na ulicy przyśpieszył kroku.

W jesieni rybacy wyłowili z portowego kanału nagie zwłoki człowieka. Był bez twarzy, niepodobny do nikogo, obgryziony przez ryby i wodne szczury.

Thusta bufetowa o białej, spoconej twarzy mówiła, że to był major lotnictwa.

Kelner w białej bluzie, podobny do anioła twierdził, że to był zwykły człowiek, jakich spotkać można niemało w każdej portowej knajpie.

Na rogu ulicy, obok poczty, obcy człowiek przysięgając się na wszystkie świętości, powiedział: „Spadł z obłoków na ziemię”. Głośno mówiono już tylko o tym, że to był samobójca.

Nieboszczykowi wymierzono karę. Nie pochowano go w poświęconej ziemi. „Po cholere spadł?” - powiedział młody marynarz o piegowatej twarzy.

1960 r.